

Leon Daudet.

# Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłum. Marya Jadwiga Migowa).

4

Teraz mogła już czuć wedle własnej woli, rozmyślać jak się jej podobało, nie słysząc głosu małżeńskiego sumienia, przypominającego w pewnych chwilach starą, surową, nudną nauczycielkę gry na fortepianie: „Nie ta nuta, ale tamta! Proszę nie kręcić się na krześle, nie odwracać głowy i nie marzyć o niebieskich migdałach!”

Ta ulga, której doznała, przejęła ją oburzeniem na samą siebie. Zaprażyła ukarać się, udęczyć fizycznie i moralnie.

Przypomniała sobie, że obiecała malarzowi uwiadomić starą panią Darmelle o zniknięciu Ksawerego.

To zlecenie było ważnem. Postanowiła wykonać je natychmiast.

Pani Darmelle mieszkała na ulicy d'Assas w małej willi, otoczonej pracowniami artystów. Żyła wśród pamiątek rodzinnych i portretów swego zmarłego od dwudziestu lat męża. Stoły, kominki, etażerki pokryte były fotografiami nieżyjących przyjaciół. Niektóre z nich poprzesłaniano krepą.

Co miesiąc przysyłano jej nową, niezgrabną służącą z Bretanii, z Normandii lub z Owernii. Po kilku tygodniach każdej z tych młodych, wiejskich dziewcząt sprzykrzyło się życie wśród żalobnej atmosfery, dziękowała więc za służbę.

Sąsiedzi nazywali panią Darmelle „grabarką”. Kiedy dowiedzieli się, że syn jej poszedł na wojnę, to żartowali: „Ona go od razu uśmierci!”

Byli nawet tacy, którzy utrzymywali, że ona ma „złe” oczy i że trzeba spluć trzy razy ilekroć się ją spotka. Jednakowoż stróżka pani Darmelle, korpulentna Magdalena Nadon, była zupełnie innego zdania i mówiła o swej chlebowdawczyni, że to bardzo „godna osoba”. Natomiast pani „Ksawerowa” nie zupełnie zasługiwała na uznanie stróżki, która uważała, że młoda kobieta bierze życie za mało „lekko”. To też uczuła coś nakształt zadowolenia, kiedy zobaczyła bladą i wzruszoną twarz synowej swej chlebowdawczyni.

— Mamo... — rzuciła Marion jednym tchem — wracam od Grantouva. Pułkownik Ksawerego pisał do niego. Donosi mu, że Ksawery zaginął od trzech tygodni. Nie tracą jednak nadziei, że dostał się do niewoli...

Od Montmartre przygotowywała i układała sobie te słowa i wygłosiła je ze spokojem, który ją samą zadziwił. Chciała uniknąć tego, co jednakowoż nastąpiło: stara dama wydała dramatyczny okrzyk i całym ciężarem swego korpulentnego ciała opadła na fotel niby zemdlona.

„Grabarka” uważała, że w takim wypadku może sobie pozwolić na bicie rękami w powietrzu na trzęsienie kropkami mietowem i na mokre okłady na głowę. Synowa, która ją dobrze знаła, wykonawszy ten cały przepisany rytuał, zaproponowała, że pośle po lekarza. Obawa przed zaplaceniem honorarium otrzeźwiła nieco oszczędną staruszkę. Pani Darmelle kochała zresztą szczerze swego syna, ból jej nie był komedią, lecz mieszaniną istotnego cierpienia z tragicznym patosem.

Kiedy odzyskała przytomność umysłu rzekła do synowej:

— Nieprawdaż, moje dziecko, myślisz tak samo, jak i ja, że nasz biedny Ksawery już nie żyje?

Marion gestem rozpaczki potwierdziła to przypuszczenie.

— Widzisz więc teraz, że rozsądniej byłoby postąpić według moich rad i przywdziać zawczasu żalobę.

Ta dziwaczna wymówka „grabarki” rozdrażniła młodą kobietę.

— Obawiałabym się przynieść nieszczęście mężowi — odrzuciła dość szorstko Marion — żałoby nie włożę dopóki wiadomość o jego śmierci nie będzie pewną!

— Bardzo niesłusznie postąpisz — oświadczyła surowo teściowa — i narazisz się na to, że cię ludzie źle osądzą. Uważam również, że należy obecnie odwać zaręczyny Franciszka.

— I dlaczegoż to?

— Dlatego, że zaręczyny zwłaszcza w tak

młodym wieku związane są z pojęciem czegoś wesolego, radosnego. A przyznasz chyba sama...

Marion czuła całą śmieszność podobnej dyskusji. Aby uniknąć nowych ataków staruszki odrzekła wymijająco:

— Zobaczmy jeszcze, jak to będzie.

Pani Darmelle podjęła zaś znowu w dalszym ciągu swe patetyczne lamente.

— Mój Ksawery!... O Boże! mój Ksawery taki rozumny, taki dobry, czyż to możliwe, aby już nigdy więcej...

Ten potok teatralnych frazesów ziryutował Marion do tego stopnia, że przypuszczała śmierć męża zaczęła się jej wydawać mniej pewną. Budził się w niej duch opozycji, gniewne wzburzenie przesłaniało mgłą nieszczęście i wysuszało źródło łez.

Noc otuliła już Paryż, kiedy młodsza pani Darmelle pożegnała wreszcie swą teściową, która przez dobrą godzinę dręczyła ją skargami i nie-dorzecznymi radami.

Matka Ksawerego usiłowała Marion koniecznie przekonać o tem, że położenie jej materialne jako wdowy jest bardzo złe, co nie było bynajmniej zgodne z prawdą. Jednocześnie podkreślała, że nie może przyjść synowej z pomocą pieniężną, chociaż ta wcale się tego nie domagała i nie liczyła na tę pomoc. W utyskiwania swoje staruszka wplatała cierpkie bardzo, przejryste aluzje.

— Ksawery nie umiał oszczędzać. Wychowanie Franciszka niezupełnie było takie, jak być powinno. Za dużo kosztownych tualet, za dużo wesółych zabaw — mówiła ogólnikowo, nie wymieniając dla kogo to były te tualety i te zabawy.

— Och! och! nieznosna!... okropna babo! — Marion byłaby głośno zawołała to do gwiazd, migoczących na niebie, ale oprzytomnił ją i opamiętał widok Magdaleny Nadon, zapalającej gazową latarnię przed bramą.

## ROZDZIAŁ II.

### Serce ma swoje prawa.

Nazajutrz Marion wyczerpana wzruszeniem, spała długo. Kiedy się obudziła promienie słońca wdzierały się zwycięsko do sypialni.

Młoda kobieta przeciągnęła się ze snu, ziewnęła jeszcze kilka razy i uczuła, że noc przespana nie uniosła ze sobą ani jej smutku, ani jej szalu miłosnego. Martwiła się zniknięciem męża, a marzyła o Klaudyuszu.

Franciszek mężnie przyjął złowróżbną wiadomość i natychmiast uprzedził swą narzeczoną. Gineffa i Janka Etiennani miały przyjść dzisiaj przed śniadaniem. Klaudyusz nie dał znaku życia.

Marion wsunęła pod poduszkę ostatnie listy swego męża. Te opowiadania o wojnie, przeplatane słowami tkliwej tęsknoty, wzruszały ją teraz silnie. Zdawało się jej, że to są listy „z tamtego świata”. Odczytywała je z wolna, z uwagą, z pełnem poczuciem ich wartości.

Czyniła sobie wymówki, że w ciągu lat dziewiętnastu odpłacała za tyle miłości tylko rozsądnem, spokojnem przywiązaniem. Jakgdyby większa część jej serca, niezużyta i niełknięta oczekiwała kogoś innego, dla niego zachowując zdolność silnych wzruszeń miłosnych.

Z tego może właśnie wynikały w małżeńskim pożyciu tarcia i nieporozumienia, które pani Lebien chwyciła w lot, wykorzystując jako broń zaczepną przeciwko zięciowi.

To zapewne po ojcu swoim, powieściopisarzu i poecie utalentowanym choć niedocenianym, odziedziczyła Marion te pragnienia nieokreślone, w pół uczuciowe, w pół zmysłowe.

Czytała list męża:

„Moje słodkie kochanie, siedem pełnych dni bez listu od Ciebie — to dużo, a jednak ja czuję, że Ty piszesz do mnie co wieczora. Mam ochotę nie pisać Ci wcale o wojnie, choć ona huczy wokół mnie i ja jestem również jej częścią. Ta walka staje się dla wielu nas prosto hałasem codziennym — o! prosto takie mieszkanie niespokojne, gdzie lokatorom przeszkadzają świsty kul i trzask pękających pocisków.

Pogoda okropna. Brniemy w lepkiem błocie, które utrudnia przenoszenie baterii. Nieprzyjaciela nie widzi się, ale się go słyszy i on nas słyszy.

Wylomacz mi takie zjawisko: to nie ten hałas piekielny napęnia moje uszy, ale dźwięczy w nich Twój słodki głos i prosto do serca przenika.

Jesteś ciągle przy mnie, jakgdyby Twój obraz zlewał się w jedną całość z obrazem kraju, Francji kochanej, której człowiek nigdy za wiele poświęcić nie może...”

Taki liryzm u Ksawerego był czemś zupełnie nowem. Widocznie drzemał na dnie jego duszy i dopiero zbudziła go wojna i rozstanie.

Fanny weszła do sypialni i podała swej pani bilecik. Serce Marion zabiło silnie na widok charakteru pisma. To od Klaudyusza.

„Droga moja przyjaciółko! Może Pani sobie wyobrazić, jakim głębokim smutkiem napęliło mnie zniknięcie Ksawerego. Nie chcę jednak tracić nadziei. Wszystko się zdarza i zdarzyć może, nawet radosna niespodzianka w tych czasach straszliwych lecz obfitujących w cuda. Może zobaczę jeszcze przylaciela młodości mojej... Skoro skończę zajęcia w szpitalu, zajdę do Pani.

Z braterskiem pozdrowieniem  
Klaudyusz”.

Nie podpisał on tylko „Klaudyusz”, lecz i początkową literę swego nazwiska. Jednak to „E” było takie jakieś niewyraźne, jakby wstydziło się samo siebie.

Marion uśmiechnęła się na to „braterskie” pozdrowienie. Każda poczynająca się namiętność miłosna stara się ukryć pod tę osłonkę niewinności a zdradziecką.

— O! mój panie, ty wcale bratem mi nie jesteś — uśmiechnęła się sama do siebie piękna Marion.

Żar jakiś rozkoszny przebiegł ciałem kobiety. Ruchem leniwym, rozpięszczoną kotki wsunęła się pod koldrę. Ogarniało ją rozmarzenie. W braku Klaudyusza samego miała myśl o nim.

Powtarzała sobie: „to złe, to bardzo złe”, ale powtarzała to w ten sposób, jak dziecko uczące się obojętnej lekcji.

Jako rekompensatę obiecywała sobie, że codziennie rano i wieczorem będzie modlić się za Ksawerego i będzie o nim częste i długie rozmowy prowadzić z Franciszkiem.

Pojawienie się pani Lebien zmieniło bieg myśli tej córki. Ta szanowna niewiasta, dowiedziawszy się o tem, że znienawidzony przez nią zięć zaginął, postanowiła zamaskować swoje zadowolenie płacziwą miną, która dziwnie nieodpowiednio wyglądała na jej regularnej, spokojnej, pełnej twarzy starej kokietki i sybarytki.

Zdradzały ją jednak ruchy żywsze i lżejsze niż zwykle oraz iskry błyszczące na dnie oczu. Głos, jakim przemawiała, przybrał ton przygnębienia.

Marion, która znała doskonale swoją matkę, spostrzegła od razu to wszystko, co ją znowu ziryutowało i podrażniło.

Pani Lebien zaczęła z córką rozmowę na temat, który ją równie albo nawet więcej zajmował, jak starszą panią Darmelle. Podjęła kwestię pieniężną.

— Jak ureguluje się nowy budżet?

— Ależ, mamo, to dopiero wtedy będzie mogło być uregulowane, kiedy wiadomość o śmierci mego męża zostanie oficjalnie potwierdzoną.

— Oczywiście, moje dziecko. To też ja myślę o przeczności na przyszłość. Jaki kapitał możesz mieć do rozporządzenia?

— Coś około stu tysięcy franków.

— To niedużo... zwłaszcza w obecnych warunkach.

— Nie możemy narzekać. Iluż to ludzi przed kilku miesiącami zamożnych pozostało teraz bez grosza. Z tych stu tysięcy pięćdziesiąt przeznaczam na wiano dla Franciszka.

Pani Lebien aż podskoczyła.

— Jakto, jeszcze obecnie, w tej nowej sytuacji, myślisz o tem małżeństwie? I sądzisz, że Etiennani'owie będą tego samego zdania, że ich plany nie ulegną zmianie?

— Zaiste, okazaliby się dziwnymi przyjaciółmi.

— Tylko przezornymi rodzicami!

— Zdaje mi się, że słyszę moją teściową. Mam! to wstrętem mnie przejmujące rozstrząsanie tego rodzaju spraw w takiej chwili. Jeżeli dojdę do ruiny majątkowej, to będę walczyła z losem, będę pracowała. Może mama być spokojną o swoje drogie pieniądze. Nigdy mamy o nic nie poproszę.

(Ciąg dalszy nastąpi).